

# 05 Norwid w teatrze ambitnym

Miejscowi mówią, że Norwid stać się ma oficjalnym patronem jeleniogórskiej sceny. Zamysł piękny, a starania o patronat równie pięknie zapoczątkowane. Reżyser Grzegorz Mrówczyński za debiutował tu *Pierścieniem wielkiej damy*\*. Spektakl otworzył działalność tutejszej sceny studyjnej, a ustrzegł się grzechów, które w skali kraju za karykaturalny symbol studyjności uchodzić mogą: gdy na głównej scenie *Tredowata*, zaś „studyjnie” — Genet. Takiej zabawy w rzekome antynomie, które w prozie życia tłumaczą się na dewizę, że kasie świeczkę, a snobom ogarek, ustrzegła się dyrektor Alina Obidniak. Profil własnej „studyjności” zestroiła też z rzeczywistymi potrzebami swego widza: Jelenia Góra jest miastem ludzi młodych, ton nadaje mu inteligencja techniczna, której edukacja teatralna domaga się suplementu z lektur podstawowych. I *Pierścień wielkiej damy* chwała zgodnie *Nowiny Jeleniogórskie*, jazzmani z klubu „Kwadrat” i aktywi partyjni. Chwałą go też sami aktorzy. To ostatecznie szczególnie tu ważne...

W warunkach objazdowej sceny powiatowej Norwid egzami-

\* Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze: *PIERŚCIEŃ WIELKIEJ DAMY* Cypriana Kamila Norwida. Reżyseria: Grzegorz Mrówczyński (PWST), scenografia: Marian Iwanowicz (fot. Grażyna Wyszomirska)

nuje aktora z kompletu jego umiejętności, przede wszystkim zaś egzaminuje go z daru tworzenia nastrojów poza słowem. Mrówczyński wyspecyfikował te zadania nieomal poza zasięgiem potencjalnych możliwości zespołu. Zespół przecież zdał egzamin. Fabuła *Pierścienia wielkiej damy* jest pozornie prosta: kilka mi-

Grażyna Juchniewicz (Magdalena Tomir) i Janina Jankowska (Hr. Harrys)



łości, jedna zagadka kryminalna, w tle rodzajowe portreciki. Z tego zestawu jedynie rodzajowość da się opowiedzieć tekstami dialogu. Gra, jaką toczą pomiędzy sobą Mak-Yks, Hrabina Harrys, Graf Szeliga i Magdalena Tomir, ze słów czyni zasłone dymną. Namietności mówią tu spojrzeniami, gestem, ciszą. Aktorzy nauczyli się tej mowy. Nerwowo, jakby lekko psychopatyczny Mak-Yks (Krzysztof Kurza) miał sylwetkę chłopięcą, ale w oczach tragizm umierającego z głodu i miłości; potrafił wydobyć dialektyczne sprzeczanie tych dwóch śmierci, co mu grożą; potrafił też przekonać, że ponad każdą z nich stawia honor.

Takie naszkicowanie roli pozwalało wielki pytajnik postawić reżyserowi przy happy endzie, jakim Norwid tekst swego dramatu zamyka. Filologowie pytajnik ten już dawno do egzegez nanieśli, w interpretacjach scenicznych często się on jednakowoż gubił, reżyserzy i aktorzy jawnie wątpili w trwałość związku pomiędzy Mak-Yksem i Hrabina; związku, co go ironia losu tak nieoczekiwanie i raptownie zrodziła. Mrówczyński i Kurza też nie są optymistami, ale i wątpić a priori w cud miłości nam nie nakazują: nie kończą sprawy... Jest to w jeleniogórskim spektaklu zamysł zrealizowany niezmiernie subtelnie, a nie bez znacznego udziału Janiny Jankowskiej (Hrabina Harrys). Ak-

torka zbudowała postać, która rządzi się całkowicie wedle reguł własnego kaprysu. Nie ma w niej postanowień, nie ma zachceń, są jedynie gesty. Dużo pozy, trochę neurastenii, a w podtekście wszystkiego — wielki, obłąkańczy lęk przed samotnością. To już mniej pani Calergis, bardziej hrabina Idalia, która ma szansę w twarzy Mak-Yksa dostrzec rysy Fantazego. I zauroczyć się nimi. Do ołtarza, do łóżka, i do śmierci.

Grażyna Juchniewicz (Magdalena Tomir) oraz Stanisław Łopatowski (Szeliga) dopełniali w spektaklu ów plan uczuć z milczenia utkany. Dopełniali — nie rażąc. Może to zbyt mało, jak na recenzencki komplement, ale dużo, jak na fakt, że i w planie rodzajowym przedstawienia mieli jeszcze groźnych konkurentów. Zuzanna Łozińska z godną uznania prostotą interpretowała niewielką rolę Salome. Jej kunszt w operowaniu słowem, perlista dykcja, sugestywność gestu musiały dopingować młodych partnerów. O granice karykaturalności oparli swych Durejków Zofia Friedrich i Zbigniew Szymczak; reżyser zezwolił im na zabawę słowem (kapitałna scena kłótni małżeńskiej, w przepyszny styl niemal farsowym), Bolesławowi Andrzejczykowi (Majster ogni sztucznych) zezwolił nawet na pełną karykaturalność. Ta żartobliwość scen rodzajowych może się wydać ustępstwem na rzecz widza. W istocie dynamizuje jedynie spektakl pozostając w zgodzie z atmosferą utworu. Co

(dokończenie obok)

## Norwid w teatrze ambitnym

(dokończenie ze str. 6)

więcej! z atmosferą portretowanej przez Norwida epoki w której trywialność sąsiadowała zgodnie z pięknem; w której poza stawiała się majskuteczniejszą maską obronną. Odróżniając od tłumu, pozwalała na prywatny użytek zachować „te cnoty, od których cofa strach śmieszności” (Norwid — *Ironia*). Mrówczyński dał spektakl osadzony w historycznym czasie, pokazał Norwida bez nadatku aktualizującej szminki. Sukces tym pełniejszy, iż osiągnięty poprzez prostą i współczesną grę aktorską. Tym większy, iż w teatrze skromnym. Widać, iż i w ambitnym...

WITOLD FILLER